

Miesiąc Matki Boskiej

Było ich czterech i nie mieli w sumie osiemdziesięciu lat. Weszli do bramy domu, przeszli przez podwórze potracając ludzi klęczących na ziemi i śpiewających litanie do Matki Boskiej Loretańskiej i weszli na schody oficyny; najpierw trzech, a potem czwarty, który szedł na ostatku i zdążył jeszcze zerwać gałązkę bzu z zakurzonego drzewa, a teraz wachlował nią swoją spoconą twarz. Szli powoli zerkając na nazwiska lokatorów, a na półpiętrze jeden z nich powiedział do chłopca z gałązką bzu:

— Ty zostaniesz tutaj.

— Tak — powiedział.

— Będziesz uważać. Widzisz stąd całe podwórze. Jakby się coś przypętało, to wiesz, co masz robić.

— Dobrze — powiedział. W jego głosie słychać było wyraźną ulgę, chociaż starał się to ukryć. Stał przy oknie, oparł nogę na parapecie i patrzył na podwórze, na gipsową figurę Matki Boskiej i na głowy klęczących ludzi. Gałązkę rozgryzał teraz i czuł cierpką, gorzką zieleń; a potem odrzucił ją w dół i otarł spocone ręce o spodnie.

Tamci trzej weszli na piętro, przystanęli przed drzwiami i jeden z nich zapukał. Stali teraz nieruchomo z rewolwerami w rękach i oddychali głośno, a potem stara kobieta otworzyła im drzwi. Ręce miała oplecione różańcem.

— Jest kto w domu? — zapytał jeden z nich.

— Nie — powiedziała.

— Niech pani wejdzie z powrotem. Poszli za nią i zamknęli drzwi. Przeszli przez korytarz otworzywszy drzwi do kuchni i do łazienki i weszli do pokoju.

— Gdzie jest pani córka? — zapytał jeden z nich. Nie mógł mieć więcej jak osiemnaście lat, nie musiał się często golić; twarz jego była miękka i gładka.

— Zeszła na dół do sklepu — powiedziała. — Przyjdzie niedługo. Poszła tylko po chleb.

— Ładnie pani wychowała swoją córkę — powiedział.

— Nikt nie wychowuje swoich dzieci — powiedziała. — Przekona się pan o tym, kiedy pan je będzie mieć.

— Ostrzegaliśmy ją już raz — powiedział. — A teraz doczekała się. Wiedziała chyba, co ją czeka, nie?

— Tak — powiedziała. Patrzyła na chłopaka, na butelkę, którą wyjął z kieszeni i postawił na stole; a potem odsunął ją od siebie, jakby mu nagle przeszkadzała. Przeszła powoli przez

pokój i podeszła do okna, a wtedy jeden z nich skoczył i szarpnął ją za ramię.

— Żadnych cudów — powiedział. — Tylko bez cudów. Pokazała mu rękę oplecioną różańcem.

— Pańska matka też się chyba modli w maju — powiedziała.

— Niech pani nie mówi o mojej matce — powiedział. — Mój brat zginął w trzydziestym dziewiątym roku, a moja siostra nie pierdoli się z gestapowcami. Niech pani nie mówi o mojej matce. I proszę odejść od okna.

— Daj jej się modlić — powiedział jeden z siedzących przy stole; siedzieli przy ciemnym, ciężkim stole nakrytym czystą, białą serwetą i wyglądali na chłopców, których rodzice znajomej dziewczyny zaprosili na herbatę i biszkopty. Rewolwer i pistolet leżące na stole nie przydawały im ani grozy, ani powagi. — Daj jej się modlić — powtórzył. — Proszę, niech się pani modli.

— To okno wychodzi na podwórze — powiedział ten, który stał przy niej. — Lepiej niech sobie usiądzie przy stole. Cholera ich tam wie.

— Niech pani klęknie przy oknie — powiedział chłopiec siedzący przy stole. — Tak będzie najlepiej. I nikt pani nie będzie przeszkadzać w modlitwie.

Kobieta uklękła i modliła się teraz bezgłośnie poruszając ustami. Patrzyli na ziarna różańca przesypujące się pomiędzy jej palcami i tak samo brązowe jak jej stare ręce.

— Musimy to zrobić? — zapytał szeptem jeden z nich; był rudy, piegowaty i wyglądał na starszego od tamtych dwóch; był bardzo mizerny i ubrany jak biedak.

— Jak długo jesteś w konspiracji?

— Półtora roku.

— To za długo, żeby zadawać takie pytania.

— Nie — powiedział. — Nie zrozumiałeś mnie. Można ją po prostu rąbnąć. Można by powiedzieć, że stawiała opór i to było konieczne.

— Szkoda kuli dla tej kurwy.

— To nie wchodzi w zakres walki zbrojnej.

— Ale taki jest rozkaz.

— Mimo to mam wątpliwości — powiedział rudy chłopiec.

— Czy mówisz do mnie jak do dowódcy, czy jak do przyjaciela?

— Dlaczego pytasz o to?

— Czy mam zameldować o twoich wątpliwościach przy wykonywaniu rozkazu?

— Nie — powiedział. — Nie mów o tym. Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła dziewczyna. Wtedy ten stojący przy drzwiach wepchnął ją na środek i zatrzasnął drzwi.

Siedzący przy stole podnieśli się; obaj byli szczupli, wątli i ich stare, ciasne marynarki czyniły ich jeszcze bardziej młodzieńczymi.

— Proszę położyć torebkę na stole — powiedział jeden z nich. — Tak. Dobrze. — Otworzył torebkę i wyrzucił zawartość na stół. Wziął do ręki jej dokument. — Anna Hauswedell — powiedział. — Czy jest pani Volksdeutschem?

— Nie.

— Ma pani niemieckie nazwisko.

— To przypadek.

— Weźcie jej matkę do drugiego pokoju.

— Nie ma drugiego pokoju.

— Do kuchni. I zostań tam z nią.

— Nie potrzeba — powiedziała stara. — Jest klucz. W kuchni nie ma okna. Możecie mnie zamknąć. Przeszła przez pokój i przystanęła obok córki na chwilę. — Więc teraz widzisz, że istnieje jednak sprawiedliwość — powiedziała. — To nie sprawiedliwość — powiedziała dziewczyna.

— To dlatego, że nie jesteście jeszcze mężczyznami. Więc nie możecie tego zrozumieć. Nie jesteście jeszcze nawet podobni do mężczyzn. — Oparła się ciężko o stół, a wtedy butelka przewróciła się i rudy chłopiec złapał ją w ostatniej chwili. — Mamo — powiedziała dziewczyna. — Pocałuj mnie.

— Nie — powiedziała stara.

— Przecież widzisz, co oni ze mną zrobią. Pocałuj mnie.

— Nie — powtórzyła stara. Stojący przy drzwiach wepchnął ją do kuchni i przekreślił klucz.

— Chcę się pomodlić — powiedziała dziewczyna.

— Nie potrzebujesz się modlić. Nie zabijemy cię. Będziesz mogła się później modlić, ile tylko chcesz.

— Co chcecie zrobić? — zapytała i teraz po raz pierwszy usłyszeli w jej głosie strach.

— Zgolili ci głowę przed czterema miesiącami, prawda? I ostrzegano cię. Powiedzieli ci, żebyś z nim skończyła — powiedział chłopiec bez zarostu. Podszedł do niej i zerwał z jej głowy chustkę; włosy Jej były jasne, krótkie; wyglądała teraz bardziej na chłopca i jeszcze młodziej.

— Dlaczego nie skończyłaś z nim? — zapytał.

— Nie mogłam z nim skończyć — powiedziała. Znów oparła się o stół. — Kocham go.

— Niemca?

— No i co z tego? Czy brałam od niego pieniądze? Czy dał mi kiedykolwiek? Czy

zaszkodziłam komu? Dlaczego nie zabijacie ludzi, którzy handlują z Niemcami? Choćby tych, którzy sprzedają im papierosy czy wódkę.

— I nie przeszkadzało ci, że ten człowiek jest Niemcem? Nie pomyślałaś o tym, że tacy jak on zabijają codziennie takich jak my?

— Nie brałam nic od tego człowieka — powtórzyła. — I nie powiedziałam nigdy nic złego na nikogo. Nie mogę na to nic poradzić, że zakochałam się akurat w Niemcu.

— Każdy człowiek może wybierać.

— Nie — powiedziała. — Na szczęście jest inaczej.

— Nie róbmy tego — powiedział rudy chłopiec. — Skończmy z nią inaczej.

Podszedł do okna; ludzie klęczący na podwórzu śpiewali teraz: "Wieżo z Kości Słoniowej..." Patrzył na gipsowy posąg Matki Zbawiciela i na aureolę z drutu okalającą Jej głowę; drut był szerniały, deszcze zmyły z niego złotą farbę. Potem spojrział na ścianę, na kalendarz i zerwał z niego kartkę z datą siódmego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Odwrócił się.

— Pospieszcie się — powiedział. — Ta litania zaraz się skończy. Będzie słycać jej wrzask.

— Co chcecie zrobić? — powtórzyła dziewczyna.

— Zastrzel ją po prostu — powiedział rudy chłopiec. — Na litość Boską, zabij ją albo ja to zrobię.

— Ja jestem dowódcą grupy — powiedział chłopiec o gładkiej twarzy, a jego policzki poróżnowiały nagle. — Ja jestem odpowiedzialny za wykonanie rozkazu. Jeśli będę potrzebował twojej rady — poproszę o nią.

— To pospieszcie się, do cholery — powiedział rudy chłopiec. — Róbcie to teraz, kiedy oni jeszcze śpiewają.

Znów podszedł do okna i zamknął je; słyszeli teraz ich błagalny śpiew wznoszący się ku nim jak fala, jak woda. Widział w oknie odbicie; był brzydki, zagłodzony; krótkie rękawy marynarki nie kryły jego grubych, czerwonych przegubów.

— Rozbieraj się — powiedział do dziewczyny ten, który był dowódcą. — Do naga.

— To dlatego, że nie jesteście jeszcze mężczyznami powiedziała. — To dlatego, że nic jeszcze nie rozumiecie.

Ściągnęła z siebie rzeczy i ciskała je na ziemię, a oni patrzyli na jej brązowe, twarde ciało i na ciemny trójkąt włosów. — To dlatego, że nic jeszcze nie rozumiecie i że nawet nie wiecie, jak to jest, kiedy kocha się mężczyznę, i wtedy ważne jest tylko to, że on jest mężczyzną, tylko mężczyzną. I nie mundur, który on nosi. Ale wy jesteście tylko dziećmi, którym dano się pobawić bronią, zanim zginą. I nie możecie wiedzieć o tym, że teraz, w czasie wojny miłość Jest więcej warta niż kiedy indziej. Każda miłość. — Kładź się.

Położyła się na łóżku, a wtedy usiedli na niej okrakiem; jeden na piersiach, a drugi rozkraczył jej nogi i patrzył na jej śniady, twardy brzuch pokrywający się kroplami potu i unoszony drgającymi mięśniami. Ten, który stał nad nią z pistoletem, podał mu butelkę ze stołu, a wtedy rudy chłopiec wbił ją między nogi dziewczyny; nie mógł tego zrobić od pierwszego razu — jej młody, twardy brzuch stawiał opór, a jego ręce były mokre od potu. Ukłął między jej nogami i wbił butelkę kolanem, a potem rozbił ją lufą rewolweru. Wstał; otarł o kołdrę swoje ręce lepkie od krwi i potu.

— Teraz już nie będziesz więcej chceć niemieckich mężczyzn — powiedział. Popatrzył na jej twarz; była zalana krwią. — To się podobno zdarza z dziewicami — powiedział. — Krew z nosa. Mój brat mi to mówił. — Nie martw się o nią. Ta nie była dziewicą. Wyszli do korytarza. Otworzyli drzwi od kuchni i cofnęli się gwałtownie. Matka dziewczyny wisiała na rurze gazowej; musiało stać się to przed chwilą, gdyż różaniec, którym oplecione były jej ręce, kołysał się jeszcze.

— Trzeba by zawołać lekarza — powiedział ten, który był dowódcą. — A tego nie możemy zrobić.

Wyszli na schody zamknawszy cicho drzwi. Czekający przy oknie klatki schodowej odwrócił się i podał im teczkę. Włożyli do niej broń.

— Ty pójdziesz pierwszy.

— Tak — powiedział.

Zeszli w dół; na podwórku zdjęli czapki i wolno przeszli między kłęczącymi. Rudy chłopiec odwrócił się raz jeszcze; spojrzał na gipsową, słodką twarz Matki Zbawiciela i na wiązkę zwiędłych kwiatów leżących u Jej stóp — białych prawie tak jak i płaszcz Jej chwały, z którego schodziła już farba. Ludzie znów śpiewali: "Orędowniczko Nasza, Wieżo z Kości Słoniowej, zmiłuj się nad nami".

— Ciekawe, czy po wojnie ludzie będą też się tak modlić — powiedział.

— Maj zawsze w Polsce był miesiącem Matki Boskiej.

— Ja wiem — powiedział. — Ale ciekaw jestem, czy po wojnie też będą się tak modlić. Kiedy nie będzie już strachu i nieszczęścia.

— Ci, którzy przeżyją wojnę, zobaczą. Idziemy. Ty wyjdiesz pierwszy, potem ja, potem ty. Cześć!

Raz jeszcze się odwrócił i raz jeszcze spojrzał na słodką, bolesną twarz Matki Boskiej. Było mu gorąco: musiał rozpiąć koszulę i marynarkę. Myślał o dziewczynie; o jej twardym, ciemnym ciele; o jej krótkich włosach, które czyniły ją podobną do chłopca, i myślał o tym, że nie wydała ani jednego jęku, i jeszcze o tym, że dojrzał w jej twarzy coś, co widział przedtem

tylko na gipsowych, połączonych posągach Matki Zbawiciela.

— Nie chcę przeżyć tej wojny — powiedział głośno do siebie. — Bo zawsze kiedy będę się modlić, będę myśleć o tamtej. I one zawsze będą dla mnie wyglądać jednakowo.

1962